Jasiński, Roman

Z radiostacją w walizce

Przegląd Pruszkowski nr 2, 74-80

2010

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

MUZEUM HISTORII POLSKI

Roman Jasiński
Kapitan Wojska Polskiego

Inżynier leśnik. Walczył we Francji w czasie II wojny światowej Swoje przeżycia opisał w książce „Płonące piaski" wyd. w 1962 roku.
Mieszkał bardzo krótko w Pruszkowie przed I wojną światową, ale był z naszym miastem związany przez rodzinę.

Z radiostacją w walizce

Dowódcą nielegalnych przerzutów żołnierzy, internowanych oraz uciekinierów z obozów jenieckich, jak również sprzętu niezbędnego dla akcji podziemnych organizacji ruchu oporu w pasie granicznym francusko-szwajcarskim, na odcinku St Blaise w Szwajcarii, był płk Tadeusz Krupiczka.

Pełniąc obowiązki jego zastępcy, utrzymywałem stały kontakt zarówno z francuskim ruchem oporu, jak i z polskim, na czele którego stał były mój dowódca z II dywizjonu artylerii lekkiej 2 DSP we Francji, płk Zdrojewski, występujący na terenie okupowanej Francji pod pseudonimem „Daniel".

Płk Zdrojewski władał biegle językiem niemieckim i trochę z wyglądu był podobny do pruskiego oficera. Wykorzystywał często te „walory" dla potrzeb prowadzonej przez siebie akcji podziemnej. Głośny był jego wyczyn, kiedy to po aresztowaniu przez gestapo jednego z czołowych członków francuskiego ruchu oporu z okręgu paryskiego, chcąc się czegoś dowiedzieć o losach aresztowanego, w przebraniu oficera niemieckiego, z tytułem barona kurlandzkiego, został przyjęty przez marszałka Keitla i jako urlopowany oficer z frontu wschodniego został zaproszony do kasyna oficerskiego, w którym poznał wielu wysoko postawio-

nych esesmanów. Przy szampanie i koniaku, stawianym chętnie przez bogatego barona, dowiedział się o dacie i miejscu przewożenia grupy więźniów, między którymi był poszukiwany członek francuskiego ruchu oporu. Informacje te były wystarczające, aby „Herr Baron" postawił jeszcze parę butelek koniaku, a następnie pozwolił się rozochoconym nowym przyjaciołom odwieźć do hotelu. W dwa dni później grupa partyzantów odbiła transport więźniów, przewożąc ich w bezpieczne miejsce. Esesmanom ani się śniło, że „Herr Baron" ma z tym coś wspólnego. Jeszcze tydzień urlopu spędził razem z nimi w kasynie, a potem „wyjechał z powrotem na front wschodni".

Granica, przez którą tutaj dokonywaliśmy przerzutów, była bardzo wygodna, gdyż biegła wzdłuż łagodnie pofalowanych wzgórz i w wielu miejscach wśród lasów, co ułatwiło poruszanie się w terenie. Punkty przerzutów Les Verrieres czy La Brevin miały jeszcze tę wygodę, że ulokowano obok nich obozy internowanych żołnierzy polskich, którzy prowadzili tam prace melioracyjne. Żołnierze tam pracujący byli zawsze dokładnie poinformowani o każdym ruchu patrolu granicznego zarówno niemieckiego jak i szwajcarskiego.

Przerzuty zawsze były związane z ryzykiem, niejednokrotnie kończyły się tragicznie, ale nie brakło też i scen wręcz humorystycznych.

Jedna z naszych grup przeszła granicę w biały dzień, na oczach straży szwajcarskiej i niemieckiej. Był akurat sezon sianokosów. A wobec tego, że część łąk gospodarzy szwajcarskich leżała po stronie francuskiej, grupa naszych żołnierzy przy współudziale gospodarza – Szwajcara przebrała się w barwne szwajcarskie stroje ludowe, jedni za chłopów a drudzy za dziewczęta. I tak tacy „chłopcy" i „dziewczęta" z kosami na ramionach , nie zatrzymywani przez nikogo, a nawet serdecznie pozdrawiani, bo grali na harmonii, przejechali granicę. Po stronie francuskiej „chłopcy" wzięli się ochoczo do koszenia łąki, a „dziewczęta" za grabienie. Tak pracowali do zachodu słońca. O zachodzie gospodarz sam

wrócił do domu, a nasi pomysłowi żołnierze zwiali w nocy do lasu, gdzie przyłączyli się do walczących oddziałów.

Inna grupa, składająca się z siedmiu żołnierzy wybrała się na „smutno". Zakupili ogromny wieniec z czarną szarfą i złotym napisem: „Zmarłemu Włodkowi – Koledzy". Żołnierze ci, dźwigając z pogrzebowymi minami wieniec, wsiedli do pociągu jadącego do granicy. Żandarmi nie zatrzymywali ich, gdyż uważali, że są delegacją jadącą na pogrzeb. W nocy pomysłowi żołnierze przekroczyli granicę, ale już bez wieńca.

Przerzuty nasze nie ograniczały się tylko do ludzi, ale obejmowały również sprzęt niezbędny dla prowadzenia akcji partyzanckiej.

Jednym z udanych przedsięwzięć było przerzucenie radiostacji polowej, przeznaczonej dla francuskiego oddziału partyzanckiego, operującego na odcinku Annemas – Grenoble.

Aparatura została pomysłowo wmontowana do zwykłej podróżnej walizki, a na wierzchu, tuż pod wiekiem, leżały dwa steny, nabite i gotowe do strzału. Dowództwo odcinka wystarało się o przepisowy mundur oficera niemieckiego i komplet dokumentów na oryginalnych drukach, które gwarantowały bezpieczny przejazd pociągiem na odcinku Annemas – Grenoble. Pozostała tylko sprawa, kto przerzuci niebezpieczny bagaż i odwiezie go pod wskazany adres. Zebrani na naradzie postanowiliśmy ciągnąć losy. Los ten przypadł mnie.

Pociąg pośpieszny z Annemas do Paryża przez Grenoble odchodził o godzinie 22.00. Na 10 minut przed odejściem pociągu, ubrany w mundur niemieckiego oficera w stopniu porucznika, wszedłem na peron, trzymając w ręku ciężką walizkę. Nie zwracając na nikogo uwagi skierowałem się do wagonu I klasy, na której widniała tabliczka z napisem „Nur für Deutsche". Drzwi wagonu były otwarte na całą szerokość. W pierwszym przedziale siedziało dwóch oficerów niemieckich raczących się czerwonym winem. Minąłem ten przedział, nie zauważony przez pijących i wszedłem do następnego, który był pusty prawdopodobnie dlatego, że okno

było zabite niezbyt szczelnie dyktą. Przy ruchu pociągu powodowało to nie lada przeciąg. Okoliczność ta odpowiadała mi bardzo. Zapewniała względnie spokojną podróż, bez wścibskich pasażerów i nieciekawych rozmów, które w mojej sytuacji były raczej niewskazane.

Wchodząc do przedziału sprawdziłem, czy zasuwane drzwi można lekko otworzyć, następnie zdjąłem mundur – wieszając go sprawdziłem, czy wszystkie dokumenty, od legitymacji osobistej aż do rozkazu wyjazdu, znajdowały się w portfelu i na właściwym miejscu. Czapkę, z rozpostartym czarnym orłem powiesiłem na widocznym miejscu, a sam ulokowałem się w kącie przedziału, udając, że śpię. Według zapewnień kolegów tak z polskiego, jak i francuskiego ruchu oporu, ekspres Annemas – Paryż nigdy nie był kontrolowany, gdyż jeździli nim zazwyczaj Niemcy lub Francuzi spod znaku „Vichy".

Tym razem stało się jednak inaczej. Zaledwie pociąg przejechał swoje pierwsze kilometry, usłyszałem otwieranie drzwi w pierwszym przedziale, następnie głośną rozmowę. Ktoś poirytowany mówił w języku niemieckim, że nie będzie otwierał walizek, czego widocznie żądała kontrola. Słychać było również dość ożywiony ruch w dalszych przedziałach. O tym, aby ubrać się i próbować ucieczki z ciężką walizką, mowy być nie mogło. Jedynym wyjściem było czekać cierpliwie, co będzie dalej. Zakryłem twarz do połowy wiszącym mundurem i na pół przymkniętymi oczami bacznie obserwowałem drzwi wejściowe. Jednocześnie przez głowę przelatywały mi gorączkowe myśli, poszukujące sposobu wyjścia z sytuacji.

Rewizja w pierwszym przedziale widocznie dobiegała końca, gdyż słychać było, jak zasuwano drzwi przedziału i jak życzono dobrej nocy. Za chwilę błysk latarki polowej oświetlił przyćmiony przedział, w którym siedziałem samotnie.

– Pańskie dokumenty!

W drzwiach stał oficer żandarmerii, a za nim dwóch żołnierzy uzbrojonych w automatyczne pistolety, które zwisały swobodnie

na pasach przerzuconych przez ramię. Udając mocno zaspanego, zwolna sięgnąłem do kieszeni przewracając dość długo papiery w portfelu – po dłuższej chwili podałem dokumenty podróży i legitymację służbową. Oficer przejrzał je uważnie, porównał fotografię ze mną i zwracając dokumenty, powiedział:

– Przepraszam pana, Herr Oberleutnant, mamy rozkaz przeglądać walizki.

Siląc się na spokój, wstałem, sięgnąłem po leżącą na półce walizkę, postawiłem ją ostrożnie na siedzeniu i zacząłem po kieszeniach szukać klucza.

Jednocześnie w ułamkach sekund podjąłem decyzję: podnieść błyskawicznie wieko walizki, chwycić za leżące na wierzchu dwa nabite i odbezpieczone automaty, oddać z jednego z nich serię do niespodziewających się niczego żandarmów, przeskoczyć przez nich, dopaść do drzwi pędzącego pociągu i wyskoczyć.

Należało się spodziewać, że siedzący w pierwszym przedziale oficerowie na odgłos strzałów wybiegną na korytarz, ale liczyłem tu na moment zaskoczenia. Zresztą, innego wyjścia nie było.

Pierwszy zamek walizki został otwarty. Klapka zacisku odskoczyła z trzaskiem. Klucz powędrował do drugiego zamku. W tym momencie oficer żandarmerii, widocznie uspokojony powolnymi ruchami zaspanego, jak mu się wydawało, kolegi, machnął ręką i ze słowami: – niech pan to zostawi... dobranoc!... wyszedł z przedziału. Za nim, stukając ciężkimi, podkutymi butami poczłapali obaj żołnierze.

Przekręciłem automatycznie klucz w zamku walizki, postawiłem ją na półce i ciężko usiadłem. Na czole poczułem spływające powoli krople zimnego potu.

Pozostała teraz sprawa wydostania się ze stacji w Grenoble, gdyż należało przypuszczać, że akcja sprawdzania dokumentów i rewizji bagażów objęła również stacje kolejowe. Na szczęście, przed wjazdem do Grenoble, pociąg zwolnił, a następnie zatrzymał się pod sygnałem. Skorzystałem z tej okazji, chwyciłem szybko walizkę i wyskoczyłem z wagonu.

Przedostanie się przez tory było już kwestią paru chwil. Na ulicy stało jakieś prywatne auto. Nie namyślając się wiele, podszedłem do kierowcy i ostrym tonem powiedziałem po francusku:

– Zawieziesz mnie natychmiast na róg ulicy La Fayette.

Kierowca, prawdopodobnie właściciel samochodu, spojrzał nieufnie na mnie, ale bał się protestować. Ruszyliśmy. Trzymając cały czas za rękojeść pistoletu, przynaglałem kierowcę, który i bez tego jechał z niedozwoloną szybkością. Żandarmi francuscy regulujący ruch na widok niemieckiego munduru nie zatrzymywali pędzącego auta. Być może, uważali, że jadącemu na nieznaną im akcję oficerowi niemieckiemu bardzo się śpieszy i chcąc ułatwić drogę, wstrzymywali ruch uliczny, dając mu pierwszeństwo.

A mnie się rzeczywiście śpieszyło. Wąskie uliczki utrudniały szybką jazdę, ale mimo trudności, w krótkim czasie szczęśliwie dotarłem do rogu upragnionej ulicy. Wysiadając, podziękowałem właścicielowi auta, który bez słowa nacisnął nogą gaz i pomknął naprzód, zapewne ucieszony, że pozbył się nieprzyjemnego pasażera.

„Rue La Fayette 15" – powtarzałem w myśli, idąc wzdłuż ulicy. To chyba tu? Numeracja domów w miastach francuskich pozostawia wiele do życzenia. Numery umieszczone są w zależności od fantazji właściciela domu. Czasami pod oknami pierwszego piętra, a czasami w ogóle ich nie ma.

W bramie domu, koło którego zatrzymałem się, kręciło się dwóch mężczyzn, którzy na mój widok szybko się ulotnili. Mundur, który w wagonie kolejowym chronił, tu stał się krępujący. Nagle, z przeciwległej bramy, wyszedł osobnik z siwą brodą, wsparty na lasce i przechodząc koło mnie, szepnął po polsku:

– Proszę za mną.

Postać i ruchy staruszka wydały mi się znajome.

Krokiem zbyt energicznym jak na swój wiek wszedł do bramy, następnie skręcił na prawo i po schodach poprowadził mnie na drugie piętro. Tu zastukał trzykrotnie laską w drzwi, a kiedy te się otworzyły, wskazał ręką, abym wszedł pierwszy.

W wąskim korytarzu oświetlonym małą, w dodatku przyćmioną żarówką niewiele można było zobaczyć. Stary znów zapukał w drzwi okryte kotarą i na dźwięk słowa: „wejść", otworzył je, tym razem wchodząc pierwszy. Podążyłem za nim, dźwigając swoją cenną walizkę. W obszernym pokoju za biurkiem siedział mężczyzna po czterdziestce, który na nasz widok wstał i z uśmiechniętą twarzą podszedł do mnie, ściskając mi dłoń.

– Przywieźliście radiostację, to bardzo dobrze, bo jest ona nam bardzo potrzebna. Jesteście na pewno głodni. Zaraz będzie śniadanie. Kapitanie! – zwrócił się do starca, który wsparty na lasce stał na uboczu. – Zajmijcie się gościem, a przede wszystkim przebierzcie go, bo jeszcze któryś z naszych gotów go postrzelić.

Nazwany kapitanem roześmiał się głośno i odklejając siwą brodę, zwrócił się twarzą do mnie. Zdołałem tylko krzyknąć: – Józek! i padliśmy sobie w objęcia. Okazało się, że kolega, kapitan Józef Krahelski, był adiutantem dowódcy miejscowej grupy polskiego ruchu oporu. On to właśnie, ucharakteryzowany na starca oczekiwał na moje przybycie i poznał mnie od razu mimo obcego munduru.
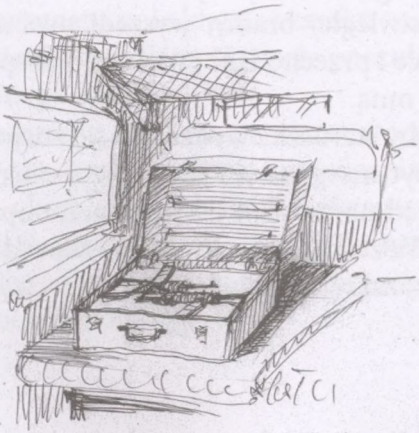
Tak się szczęśliwie zakończyła moja eskapada z radiostacją. Droga powrotna była łatwiejsza. Przy pomocy kolegów z francuskiego podziemia tejże nocy powróciłem do La Brevin, skąd już zupełnie bezpiecznie dojechałem pociągiem do zgrupowania prowadzonego przez majora Chudzikiewicza w St. Blaise.